

dzieć, że zbadałem to, co ta szklanka zawiera i znalazłem ślady atropiny.

Nie uczyniłem tego, coprawda, ale mniejsza o to.

— A także, że posłałem po policyę.

I to było zmyślenie.

Yvetta zbliżyła się do mnie nagle i zarzuciła mi ręce na szyję.

— Nie! — rzekłem — nie uda ci się ani mi szklanki wytrącić, ani wylać, co w niej jest!

Teraz, płacząc, padła mi do nóg.

— Niech pan ma litość nademną! — Patrzała na mnie przez łzy, a poza jej była doprawdy efektowna. — To pani Deschamps prosiła mnie, bym to zrobiła... Służyłam wpięrow u niej, zanim przyjechałam miejsce u pani. Dała mi buteleczkę, ale ja nie wiedziałam, że to jest trucizna... przysięgam, że nie wiedziałam.

— Więc cóż myślałaś, że to jest? Sok malinowy? Dwa gramy atropiny to śmierć!

Za całą odpowiedź objęła moje kolana. Oswobodziłem się i odstąpiłem o parę kroków. Wtedy zerwała się i skoczyła do drzwi, ale ja już poprzednio sam zamknąłem na klucz.

— Gdzie jest pani Deschamps? — zapytałem.

— Wraca jutro do Paryża. Niech mnie pan wypuści, proszę! Ja tylko byłam narzędziem.

— Zastanowię się nad tem — odrzekłem. — Mojem zdaniem, jesteś z gruntu złą dziewczyną i nie do wierzę ci nic a nic. Tymczasem daję ci sposobność do rozmyślenia nad twoją winą.

Wyszedłem z pokoju i drzwi zzewnątż zamknąłem na klucz.

Muszę tu przyznać, że byłem rad ze siebie — rad, że taki bystry byłem i przenikliwy i że mi się tak dobrze udało.

Rozdział XIII.

Przez następną godzinę kołatałem się po mieszkaniu Rozy jak duch niespokojny, sam nie wiedząc, co czynić. Pragnąłem działać, ale bez upoważnienia Rozy nie śmiałem. Że tu istniał jakiś rodzaj spisku, o tem nie mogłem wątpić, ani też o tem, że na dnie intrygi musiała być Karlotta Deschamps. Parę niejasnych projektów przesunęło mi się przez głowę, ale żaden z nich nie wydawał mi się dostatecznie mądrym. Pomyślałem o pójściu do Karlotty Deschamps, ażeby ją przestrzedz. Potem pomyślałem, że możnaby ją przestrzedz za pośrednictwem jej siostry Maryi, będącej niewątpliwie w Paryżu. Adres Maryi mogłem z łatwością wyszukać, ale może Marya, podejrzliwa, odmówi mi adresu siostry? A zresztą, przypuściwszy, że zobaczę się z Karlottą, cóż ja jej właściwie powiem? Od czego zacząć? Wtedy przyszło mi na myśl, że najkrócej i najprościej będzie udać się do policyi; ale zjawienie się policyi to rozgłos, to skandal, to różne nieprzyjemności dla Rozy. I tak, chcąc być dyskretnym, pozostałem bezczynnym.

Wieczór już zapadał, gdy wyszedłem na ulicę, by odetchnąć trochę świeżem powietrzem. W mieszkaniu Rozy, gdybym powrócił, uprzedziła mnie służąca, że pani wstała, czuje się zupełnie dobrze i prosi mnie do swego buduaru. Pospieszyłem tam. Ogień palił się na kominku, a przed kominkiem stały dwa wygodne fotele. Roza spoczywała w jednym. Ręką zaś wskazała mi drugi. Ubrana w biały szlafroczek, trochę jeszcze osłabiona po przebytym ataku, wyglądała jak samo uosobienie piękności i wdzięku. W oczach jednak, niezwykle błyszczących, widniał jakiś lęk, jakieś oczekiwanie czegoś niewiadomego.

— Lepiej mi — rzekła z słabym uśmiechem i wyciągnęła do mnie rękę.

Ująłem ją za puls i wyciągnąłem zegarek, zapomniałem jednak liczyć uderzeń puls i notować sekundy. Patrzyłem na nią. W tej chwili nedoręcznością mi się wydało uważać za możliwe, bym kiedykolwiek mógł ją nazwać swoją.

— Czy nie lepiej się już mar?

— Tak, jak — odpowiedziałem — puls... puls... už teraz dobrze.

Odsunąłem fotel trochę dalej od kominka i przypomniałem sobie, że o różnych rzeczach muszę jej powiedzieć i różne rzeczy zrobić.

— Spodziewałem się — rzekłem — że atak prędko przejdzie.

— Więc pan wie, co mi było? — odpowiedziała i szybko odwróciła się ku mnie.

— Owszem, wiem — odpowiedziałem stanowczo.

— Powiedz pan, proszę.

Milczałem.

— No, niechże mi pan powie! — powtórzyła. Śmiała się, ale głos jej cichy był i zalekany.

— Zastanawiam się właśnie, czy mam to pani powiedzieć.

— Co tam! — zawołała dumnie. — Czyż to ja dziecko?

— Jest pani kobietą i dlatego należy pani oszczędzać ostrych kantów życia.

— Ach! — szepnęła — Nie wszyscy i nie zawsze byli tego zdania. I ja wolałabym, by pan tak nie mówił.



Umrę z pragnienia, jeśli mi zaraz nie dacie wody.

— Cóż robić, kiedy tak myślę — odpowiedziałem. — I rzeczywiście, jabym rad uchronić panią przed niepotrzebną przykrością.

— Ależ ja proszę, niech pan wszystko powie — nalegała dalej. — Nie jestem figurką z saskiej porcelany i nie potrzeba się ze mną obchodzić, jak gdybym była ze szkła. Niechże pan powie!

— Skoro pani chce wiedzieć, więc powiem, że zadano pani truciznę.

Opowiedziałem jej o moich uprzednich podejrzeniach i o tem, jak je uprzednie przyznanie się Yvetty potwierdziło. Wstrząsnął nią dreszcz, powstała i zbliżyła się do mnie.

— A więc pan utrzymuje, że Karlotta Deschamps i moja własna służąca zmówiły się otruć mnie li tylko dlatego, że mam śpiewać w pewnej sztuce i w pewnym teatrze? To niepodobna!

— A jednak jest tak! Może Deschamps nie chciała pani zabić; chciała tylko uniemożliwić pani śpiewanie, ale ryzykowała, że może panią życia pozabawić i wiedziała o tem pewnie.

Roza zaczęła łkać; odprowadziłem ją do fotelu.

— Nie powinienem był mówić pani o tem dzisiaj — rzekłem — ale powinniśmy zrobić doniesienie do policyi, a nie chciałem czynić tego bez zezwolenia pani.

Otarła oczy, ale drżała wciąż jeszcze.

— Będę śpiewała w „Carmen“ — uniosła się namiętnie.

— Naturalnie, że będzie pani. One obie muszą pójść do więzienia, a pani musi uzyskać właściwą obronę.

— O policyi pan myśli? Nie! Nie udamy się do policyi.

— Obawia się pani skandalu? Przychodziło mi to na myśl.

— Nie skandalu się obawiam. Za bardzo pogardzam Karlottą Deschamps i Yvetta, ażeby w ogóle zważać na nie. Nigdy nie byłabym przypuszczała, że kobieta tak może postąpić z kobietą.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Ale pani ma obowiązek... — zacząłem.

— Panie Foster, proszę, niech się pan nie upiera. Niezdolna jestem karać takich istot. Pan mówi, że Yvetta zamknięta jest w salonie. Niech pan pójdzie do niej, niech jej pan powie, żeby sobie poszła. Niech jej pan powie, że nic jej nie zrobię, że nie czuję do niej ani urazy, ani żalu, ale że odtąd ona poprostu dla mnie nie istnieje. I niech ona to samo odemnie powie Karlocie Deschamps.

— A przypuścimy, że one dalej intrygować będą?

— To być nie może. Wiedząc, że raz są wykryte, nie ośmiela się więcej... a nawet gdyby miały jeszcze knować dalej, wolę znieść niebezpieczeństwo, niż wdawać się z takimi istotami. Pójdzie pan zaraz?

— Jak pani sobie życzy. I wychodziłem z pokoju.

— Panie Foster!

Odwołała mnie. Ujawszy rękę moją prawie pieczołliwie, podniosła oczy ku mej twarzy. W tych oczach było łagodne, ufnie wezwanie, był głęboki i przejmujący smutek, który przejął mnie radosnym dreszczem. Palce lekko ścisnęły moją dłoń.

— Nie podziękowałam panu słowami — rzekła — za wszystko, co pan zrobił dla mnie, za wszystko, co pan robi. Ale pan wie, że jestem mu wdzięczna... wszak prawda?

Czułem, że łzy napływają jej do oczu.

— To nic, to nic przecież... — wyjąknąłem i śpiesznie wybiegłem z pokoju. W pierwszej chwili w salonie nie mogłem dojrzeć Yvetty, choć światło elektryczne świeciło jasno. Wtem poruszyła się jedna firanka i wyłoniła się z poza niej Yvetta.

— O, to pan! — rzekła spokojnie, chłodno uśmiechnęta. Odzyskała zupełne panowanie nad sobą, to było widoczne; i prawdopodobnie postanowiła odegrać rolę swą do końca, przyjmując porażkę z miną ironiczną, wesołą i obojętną. Yvetta była niezwykłą kobietą. Twarz jej była groźna i pociągająca zarazem i miała wyraz silnego charakteru; ruchy jej były prawie wykrintne; posiadała spryt i różne umiejętności; wyobrażał sobie, że byłaby zdolną do jakiegoś czynu w wyższym stylu, do wielkiej zbrodni lub też do prawdziwie ofiarnego poświęcenia... Jednakże do dziś dnia nie znam ani zarania jej życia, ani końców jej losów.

Przewiew chłodnego powietrza zwrócił moją uwagę na otwarte okno. Zwróciłem się więc do niej, mówiąc:

— Zauważyłem wychodząc, jakiegoś podejrzanego wyglądającego mężczyznę przed oknami na ulicy. Czy to twój współnik? Czy porozumiewałaś się już z nim?

Usiadła w fotelu, przechyliła się w tył i zaczęła nucić jakąś piosenkę.

— Odpowiedz mi!

— A jeśli nie odpowiem?

— Mogłabyś też zachować się przyzwoicie! — rzekłem i podszedłszy do okna, zamknąłem je starannie.

— Żandarmi zapewne wkrótce nadejdą — szepnęła uprzejmie. — Nudzi mnie to czekanie.

Starła się ukryć ziewnięcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).